



#Me Too.

Kilka uwag o regulacji kontaktów intymnych

Obyczaje regulujące osobiste intymne relacje wydają się oczywiste, niepodlegające dyskusji, głęboko utrwalone. Przykładowo należą do nich w naszej kulturze czułe gesty wobec dzieci czy szarmanckie zachowania wobec kobiet – komplementy, głośno wyrażany podziw dla ich wyglądu, stylu, sposobu bycia – czy obecnie coraz rzadsze całowanie kobiet w rękę lub całowanie się na powitanie, jak to jest w powszechnym zwyczaju we Francji. Pojawia się jednak pytanie o granice okazywania czułości, o to, gdzie kończy się szarmancki podziw, a gdzie komplement jest źle trafiony, uwłaczający lub stanowi wstęp do nieakceptowalnej przez jego adresatkę/adresata seksualnej propozycji. Jest to także palące obecnie pytanie o to, czy np. czułość okazywana dzieciom nie jest podstępem i sposobem na ich wykorzystanie.

Pytania te dotyczą sfery relacji często wymykających się jednoznacznej ocenie zewnętrznej, mających miejsce w domach, szkołach, firmach, klubach sportowych, niejednokrotnie za zamkniętymi drzwiami. Należy przy tym mieć na uwadze ważne konteksty, w jakich współcześnie pytania takie są zadawane. Jest to przede wszystkim wzrastająca wiedza – głównie za sprawą badaczek i aktywistek feministycznych – na temat skali nadużyć, do jakich dochodzi za zamkniętymi drzwiami, gdzie sprawcy mogą niejako w ukryciu wykorzystać swoją przewagę nad ofiarami: w domach rodzinnych, za drzwiami gabinetów, sal wykładowych, plebani, rozmaitych pomieszczeń w klubach sportowych, studiach filmowych czy telewizyjnych. Przewaga sprawców nadużyć może wynikać z ich pozycji w rodzinie, w hierarchii korporacyjnej, hierarchii instytucji edukacyjnych, wyznaniowych, sportowych, artystycznych. Należy na marginesie podkreślić, że pobieżne nawet oszacowanie skali nadużyć jest tu obarczone wielkim błędem: ofiary nie chcą o nich mówić, a instytucje robią wiele, by nadużycia ukryć. W sytuacji nieporównywalnie mocniejszej pozycji sprawców czy sprawczyń nadużyć jedyną bronią ofiar staje się informacja, upublicznienie nadużycia i uzyskanie wsparcia. Olbrzymią rolę pełnią tu obecnie media społecznościowe, dzięki którym informacja rozprzestrzenia się błyskawicznie i uzyskuje wielki zasięg. Niesie to jednak koszty społeczne. Informacje o nadużyciach, nawet jeśli niepełne, powodują bowiem wzrost podejrzliwości i nieufności, nawet w relacjach osobistych czy

rodzinnych, a także w relacjach z przełożonymi, profesorami, nauczycielami, trenerami, katechetami. Kolejno trzeba zwrócić uwagę na fakt, iż pewne utrwalone obyczaje, zwyczaje, sposoby działania i wyrażania uczuć przestają być oczywiste, tracą swoje uzasadnienie w kulturowo ugruntowanych normach i wartościach etycznych, jakie w niedawnej przeszłości nadawały im głęboki sens i je usprawiedliwiały: opiekuńczości, odpowiedzialności, uczciwości, godności. W związku z tym poruszamy się tu w sferze niedookreśloności i niedopowiedzeń, braku precyzyjnych kryteriów wyznaczających zachowania etycznie akceptowalne. Stąd pojawiają się oczekiwania, iż w przestrzeń, dawnej wypełnioną przez niekwestionowane normy etyczne i obyczajowe, wkroczą normy nowe, wyznaczające nowe obyczaje, a także prawo jako swego rodzaju „minimum moralności”.

Wreszcie trzeba na koniec podkreślić, iż nowe obyczaje – wdrażane w firmach, szkołach czy na uczelniach, nakazy i zakazy, jak się wydaje przesadne, jak np. zakaz zamykania drzwi w gabinetach, przebywania sam na sam szefów i pracowników, profesorów i studentów/uczniów, czy reguły politycznej poprawności w komunikacji – stanowią tarczę chroniącą nie tylko potencjalny obiekt nadużyć – podwładnych, którym proponowany jest seks w zamian za bonusy i awanse, studentów czy uczniów, doświadczających poniżającego traktowania, dzieci w rodzinach, ale i sprawców, często domniemyanych. Dość jasno uwidocznił to ruch „Me Too”, zapoczątkowany w roku 2017 wpisem na Twitterze umieszczonym przez amerykańską aktorkę Alysę Milano, w którym, odwołując się do własnych doświadczeń, zachęcała kobiety, by dzieliły się swoimi doświadczeniami molestowania seksualnego lub napaści seksualnej, i napisały „me too” w mediach społecznościowych. Jak się okazało, w ciągu 24 godzin 4,7 miliona kobiet użyło hasztagu „me too”, co stanowiło ważny wskaźnik skali takich doświadczeń (www.badania.net/co-naprawde-zmienila-kampania-me-too). Z drugiej strony bliższa analiza poszczególnych przypadków uwidoczniła niejednokrotnie możliwe lub zupełnie jednoznaczne nadużycia: pochopne lub nieprawdziwe oskarżenia. A zatem być może lepiej, zarówno z punktu widzenia potencjalnych sprawców jak i ofiar, kosztem intymności zmienić obyczaje.

GRAŻYNA SKĄPSKA

UJ

Niezależność strategiczna Europy

Stany Zjednoczone przeprowadzając 28 lutego br. potężny atak militarny (formalnie agresję) na Iran, nie uprzedziły o tym swoich zachodnioeuropejskich sojuszników. A przecież wiąże nas wszystkich art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego, który zobowiązuje do przyścia z pomocą w razie użycia siły przeciwko któremukolwiek z członków Sojuszu. Iran w samoobronie może odpowiedzieć zbrojnie i wtedy mamy obowiązek udzielenia pomocy Ameryce. Już tak raz było, przy okazji ataku terrorystycznego 11 września 2001 roku. I nasi żołnierze brali udział w operacji USA i NATO w Afganistanie. Brak konsultacji z sojusznikami przed atakiem na Iran świadczy o niczym innym jak tylko o ich zupełnym lekceważeniu przez rząd Stanów Zjednoczonych. Mimo wszystko to nie jest dla nas zaskoczeniem. To się wpisuje w politykę administracji Trumpa wobec Europy od początku tej kadencji. Zostało to wprost wyrażone w obu dokumentach strategicznych tej administracji, ogłoszonych w grudniu ub.r. i w styczniu br. Ale zawarto tam także wyraźne oczekiwanie, że Europa przejmie większą część odpowiedzialności za swoje bezpieczeństwo.

Europa nie może zatem dłużej hamletyzować. Musi podjąć wyzwanie. Niestety, kolejne próby i dyskusja związana z europejską obroną Europy mają długą i mało owocną historię. Przecież już w 1952 roku pojawił się projekt Europejskiej Wspólnoty Obronnej, który upadł dwa lata później w głosowaniu we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. I zaraz w roku 1954 ustanowiono, z udziałem Wielkiej Brytanii, Unię Zachodnioeuropejską, która miała działać na podstawie Paktu Brukselskiego z 1948 roku, będącego klasycznym sojuszem wojskowym. Jednak okazał się on niepotrzebny, bo w czasach zimnej wojny Europa Zachodnia była skutecznie chroniona przez Sojusz Atlantycki dzięki przywództwu i potencjałowi USA, najpotężniejszego mocarstwa tamtej epoki. To strategiczne ubezwłasnowolnienie nie było wprawdzie dotkliwe, a przy tym zapewniło Europie bezpieczeństwo, niemniej po zimnej wojnie Europa próbowała się z niego wydostać. Przekształcając EWG w Unię Europejską, już w Traktacie z Maastricht wpisano w kompetencje UE prowadzenie Wspólnej Polityki Zagranicznej i Bezpieczeństwa. W sferze czysto obronnej (wojskowej) ambicje Europy miały być najpierw realizowane przez inicjatywę wzmocnienia europejskiej tożsamości w tej dziedzinie, ale w ramach NATO (ESDI). Ten projekt został szybko porzucony na rzecz Europejskiej Polityki Bezpieczeństwa i Obrony (ESDP), rozwijanej już w ramach UE od 1999 roku. Początki były bardzo obiecujące, ale po kilku latach europejski zapal osiadł na mieliźnie. Unia ograniczała się do niewielkich misji stabilizacyjno-humanitarnych w swoim otoczeniu, lecz bez ambicji stania się pełnokrwistym aktorem strategicznym.

Najważniejsze w strategicznym samoograniczeniu Europy były różnice stanowisk w tej sprawie między państwami UE. Część z nich uważała, że nie warto dublować roli i kompetencji NATO, który w roli gwaranta europejskiego bezpieczeństwa zdawał się w zupełności wystarczać. Nic więc nie zapowiadało, że zapisana w Traktacie z Lizbony opcja przekształcenia UE w klasyczny sojusz obronny kiedykolwiek zostanie zmaterializowana. Poza tym konieczna byłaby tutaj zgoda wszystkich państw członkowskich, co od początku aż do dzisiaj wydaje się rzeczą niemożliwą, skoro jedna Polska czy Słowacja mogłaby taką transformację zablokować. Niemalą rolę w utrzymywaniu Europy w charakterze strategicznego zaścianka lub przystawki do

USA odgrywali trojaki rodzaj sceptycy. Po pierwsze, politycy i komentatorzy, którzy zwyczajnie nie wierzyli, że Europa podoła takiemu wyzwaniu; była tu niewiara we własne siły. Po drugie, politycy i analitycy inspirowani przez USA, które podejmowały spory wysiłek, aby uniemożliwić Europie strategiczne usamodzielnienie. I po trzecie, europejscy malkontenci, przeciwnicy zjednoczonej Europy, nacjonalisci i suwereniści, stawiający na strategiczną autarkię lub współpracę z USA, a niekiedy z Rosją.

W sytuacji międzynarodowej AD 2026 wybór przed Europą jest jeden: albo strategiczna niezależność, albo zależniona podrzędność. I trzeba wyraźnie podkreślić, że tym razem nie chodzi już o „strategiczną autonomię”, jak formułowano ten cel dla Europy w ostatnich latach. Logiczną i polityczną konsekwencją podwójnej Zeitenwende jest imperatyw samodzielności strategicznej Europy. Pewne pośrednie kroki w tym kierunku już zostały podjęte. To przecież przejęcie przez UE odpowiedzialności za pomoc Ukrainie broniącej się przed rosyjską napaścią (po tym, jak z udzielania tej pomocy częściowo wycofały się USA). To są ponawiane deklaracje gotowości wysłania do Ukrainy sił rozjemczych (pokojowych) po zawarciu rozejmu; koalicja chętnych jest całkiem spora, choć bez Polski. To są decyzje służące radykalnemu wzmocnieniu potencjału obronnego Europy, łącznie z inicjatywą SAFE, której Polska będzie głównym beneficjentem. To są wreszcie mniejsze formaty, dające o sobie znać w ostatnich kilkunastu miesiącach, jak np.: E-3 (Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii) i G-5 (E-3 z Włochami i Polską). I najnowsza kwestia, mianowicie deklaracja Francji o zamiarze przejścia na rozszerzone odstraszenie nuklearne, czyli współpraca z ośmioma państwami podobna do programu nuclear sharing, którego gospodarzem w ramach NATO są Stany Zjednoczone.

Kolejny krok w kierunku strategicznej niezależności Europy mogłby się dokonać w jeden z trzech poniższych sposobów. Po pierwsze, drogą europeizacji NATO. To brzmi dobrze i częściowo ma już miejsce, lecz ma także swoje granice. Trump chciałby wyprowadzić USA z NATO, ale ostatecznie Stany Zjednoczone tego instrumentu nie wypuszczą z własnych rąk. Po drugie, poprzez uczynienie UE sojuszem, ale to się nie zdarzy ze wspomnianych wyżej powodów, nawet jeśli Unia już pełni ważną rolę w bezpieczeństwie Europy. Po trzecie, i to jest najbardziej prawdopodobne, w wyniku inicjatywy mniejszej koalicji „chcących i mogących”, czyli grupy 6–8 państw na początek, gotowych do wzięcia odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy. Chodzi o państwa o istotnych potencjałach militarnych i o poważnym stosunku do sprawy bezpieczeństwa, dzielących ocenę zagrożeń i kroków, które muszą być podjęte, aby im się przeciwstawić. Oczywiście, przede wszystkim chodzi o stosunek do zagrożenia ze strony Rosji. To mogłby zapewne być państwa środkowo-zachodniej i północnej Europy, inaczej: blok od Polski przez Niemcy, Francję, Wielką Brytanię, państwa skandynawskie i bałtyckie. Ich wspólny potencjał demograficzny, ekonomiczny i militarny, przetworzony w zdolności obronne, mogłby z pewnością równoważyć potencjał Rosji, zaś zintegrowany – stanowić siłę dającą Europie strategiczną podmiotowość. Instytucjonalny kształt takiego bloku jest sprawą otwartą. Nie wiemy, czy Europa podejmie taką próbę, ale jeśli tego nie uczyni, skaże się na strategiczne skarlenie i podrzędność w świecie power politics. A może nawet stać się łatwym celem agresywnego sąsiada.

Pomiędzy miłością a nienawiścią jest jeszcze środek

Kiedys, zastanawiając się nad możliwością napisania historii Europy jako czegoś zjednoczonego, byłem sceptyczny. Kontynent (różnie zresztą definiowany) miał wspólne elementy kultury materialnej i duchowej – ale różne grupy ciągle się tu tłukły między sobą, istnienie dzisiejszych państw wcale nie było oczywiste, zaś granice zmienne. Czasem jednak udawało się dogadać i nawet napisać wspólną historię. Kanclerz Niemiec i prezydent Francji uściskali sobie dłonie pod Verdun, napisano wspólny dla obu krajów podręcznik historii, a 14 lipca oddział Bundeswehry zaczął maszerować przez Champs-Élysées wraz z oddziałami francuskimi. Ktoś tam złośliwie wprawdzie zauważył, że za okupacji, na życzenie Hitlera, Niemcy też defilowali przez Champs-Élysées – ale czasy się zmieniły. W Strasburgu – czyli na terenie historycznie spornym między krajami – postawiono pomnik Matki Alzacji. Na kolanach trzyma dwóch zabitych synów – nagich. To bardzo rzadkie w przypadku pomników wojskowych. Widać nie chciano ich jednak ubierać w mundury francuski i niemiecki. Umieszczenie Parlamentu Europejskiego w tym mieście także było znakiem zjednoczenia. Miejmy nadzieję, że teraz nacjonaliści nie dojdą do władzy w obu krajach.

Blizsze i trwałe dogadanie się Polski z Ukrainą może być trudniejsze. Oba państwa były długo ubezwłasnowolnione – a ten, któremu jest źle, na długo i pamiętliwie przenosi agresję na innego, też słabego. Ogromne części obu miały charakter pogranicza – zaś na pograniczu ludzie i społeczności łatwo współpracują, ale też łatwo przechodzą do walki między sobą. W obu krajach dominuje ta sama wiara, lecz inne wyznanie – zaś to często skłania do okopywania się przy swoim. Niestety był jeszcze jeden czynnik niedobry dla perspektywy wzajemnych stosunków – a mianowicie ekspansja polska na Wschód. Sam widzę w tym ekspansję parakolonialną – jak szlachty iberyjskiej ku Ameryce, dziś zwanej Łacińską. Nie wszyscy zgodzą się z takim podejściem. Pozostaje faktem, że na tzw. Kresach (nazwa w oczywisty sposób o polskiej genezie) ukształtowały się „etnoklasy” – właśnie jak w Ameryce Łacińskiej. Polacy na Kresach byli w lepszym położeniu niż Ukraińcy. Zaistnienie takiej sytuacji – gdy przynależność etniczna zbiega się z położeniem ekonomicznym – jest mocno konfliktogenne.

Oczywiście trzeba to wszystko zniuansować. Z rozważanego związku wyszło też wiele dobrego. W podobnym kontekście podkreślał Jerzy Giedroyc („Adam Mickiewicz jest wielkim poetą polsko-litewskim. Kościuszko i Traugutt należą zarazem do Polaków i Białorusinów”¹). Co nie najmniej ważne, ta Ukraina, która była najpierw pod polskim wpływem, a potem władzą, ostatecznie wyszła jako bardziej ukraińska niż część pozostająca pod dominacją rosyjską. Mimo to, pozostaje faktem, że Maria Dąbrowska miała powody, by profetycznie zapisać w swoim dzienniku o działaniach w miejscowości Hrynki: „Biedny Wołyń. Zostaną na nim tylko Hrynki (o których już głośno w Europie) i wojsko w roli polskich Krzyżaków, nawracających postrachem i przekupstwem z prawosławia na katolicyzm. Moralnie – ohyda, politycznie – kliniczna głupota, obłąd, za który Polska ciężko płacić będzie”².

No i niedługo potem przyszedł Wołyń czy działania Ukraińców wspólnie z hitlerowcami w Polsce – co było przerażające. Nie można jednak umywać własnych rąk. Walki między zantagonizowanymi grupami etnicznymi, wybuchające gdy tylko nadarza się okazja, bywały często straszne. Walki antykolonialne, gdy wyzwolenie nie przychodziło pokojowo – też. To wszystko nie usprawiedliwia niczego – ale warto też próbować zrozumieć. Potem przyszła akcja „Wisła”, której dogłębne studia niedawno przeprowadził prof. Motyka³. „Wisła” była klasyczną stalinowską operacją przesiedlenia grupy etnicznej. Ukraińcy ją pamiętają – nie obciążając jedynie nowego w Polsce ustroju, jakby bezosobowego.

No i przyszła szansa na poprawę stosunków – po uzyskaniu niepodległości przez Ukrainę, a potem, niestety, w fatalnych okolicznościach rosyjskiej agresji. Wszyscy uznają, że w tym momencie Polacy zachowali się bardzo dobrze. Wygląda, że obecnie uczucia są chłodniejsze. Warto jednak starać się o zachowanie dobrych z obu stron. Oni walczą, a Polska szczególnie cieszy się pokojem (odpukać!). Mają najróżniejsze problemy, nie tylko wojenne – z których niejedno łatwo sobie wyobrazić, jeśli pamięta się czas bliższy transformacji ustrojowej w Polsce. W obu krajach wizja trudnej wzajemnej przeszłości i postrzeganie postaci historycznych bywają różne. Trzeba – możliwie wzajemnie – badać historię swoich krajów, którą w przypadku Ukrainy latami topiono w Polsce w „historii ZSRR”. Aczkolwiek w kontekście wzajemnych stosunków należy mówić także o ich mrocznych elementach, to lepiej nie koncentrować się na przypominaniu okrucieństw. Naturalne jest domaganie się przyzwoitego pogrzebania polskich ofiar – ale trzeba też szanować ukraińskie miejsca pamięci w Polsce.

Nie należy wciąż powtarzać, że Ukraińcy powinni być wdzięczni. Mam na myśli nie tylko zachowanie prezydenta Trumpa wobec prezydenta Zełenskigo w Gabinetie Ovalnym. W Polsce też słyszeliśmy wyrazy oczekiwania wdzięczności lub podobne. By nie sięgać daleko, poseł Czarnek na konwencji PiS-u, w Krakowie 7 marca br., w programowym przemówieniu po desygnowaniu go na kandydata na premiera zapewnił, że będziemy pomagać Ukrainie, która, jak wspomnieli, dzięki Polsce przeżyła. Podkreślił, wszakże, iż „żądamy szacunku” – chcemy partnera, a nie „bezczelności”. Wspomniał o „wielkich sercach Polaków”, napotykających obstrukcję w sprawie polskich miejsc pochówku na Wołyniu⁴.

No cóż... Jeżeli Ukraińcy są wdzięczni, co już nieraz zresztą wyrażali, to dobrze. Warto też pamiętać, że Polska ma potencjalną tarczę w ich walce. Nie można natomiast mówić do nich jak do pieska po daniu mu smacznego kąska: no, podziękuj! Jeśli ofiarodawca domaga się takiego dowartościowania od człowieka, to chyba żywi jakieś własne kompleksy. Istotna jest w tym wszystkim rola symboliki. Każda negatywna reakcja w stosunkach między narodami, zwłaszcza tymi o zastarzanych problemach między sobą, odbija się mocnym echem. Nie da się zrobić kolektywnego rachunku sumienia czy to w skali świata, czy nawet dwóch krajów. Można tylko łagodnie zaistniałe negatywy i – nade wszystko – nie podgrzewać ich konsekwencji.

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (emeritus)

PS Ostatnio opublikował: *Historyk patrzy na wciąż trwającą wojnę. Ukraina 2022–2025*, Instytut Europy Środkowej, Lublin 2025.

¹ J. Giedroyc, *Autobiografia na cztery ręce*, opr. K. Pomian, Instytut Europy Środkowej, Instytut Literacki Kultura, Lublin–Paryż 2025, s. 254.

² M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965 w 13 tomach*, przygotowane pod kierunkiem T. Drewnowskiego, Wydział I Nauk Społecznych PAN oraz Komitet Nauk o Literaturze PAN, Warszawa 2009, t. IV: 1937–1941, s. 74 (zapis pod datą 12 IV 1938).

³ G. Motyka, *Akcja „Wisła” ’47. Komunistyczna czystka etniczna*, WL, Kraków 2023.

⁴ Notowane podczas słuchania przy telewizorze.

Ekonomia selekcjonowania jakości

Kiedyś rynek miał prosty wspólny język: **cenę**. Jeśli dwa produkty były podobne, a jeden był droższy, to często zakładaliśmy, że jest lepszy, albo przynajmniej, że różnicę da się w miarę szybko sprawdzić. Konkurencja i możliwość zmiany sprzedawcy działały jak hamulec: kto oszukuje, ten traci klientów. Dziś ten mechanizm coraz częściej nie wystarcza – nie dlatego, że rynek się kończy, tylko dlatego, że zmienia się sposób, w jaki wybieramy i porównujemy oferty.

Technologia sprawiła, że dóbr i usług jest więcej, są bardziej zróżnicowane i częściej szyte na miarę. Dostajemy propozycje dopasowane do naszych zachowań, miejsca, historii zakupów, a nawet nastroju.

Brzmi jak większy dobrobyt. Ale ma konsekwencję: **cena przestaje być uniwersalnym narzędziem porównywania**, bo porównujemy rzeczy mniej podobne, często nie w tym samym czasie i nie w tych samych warunkach. Jeśli każdy widzi trochę inną ofertę, to cena przestaje być wspólnym mianownikiem. Dodatkowo w wielu sprawach liczy się to, co wyjdzie dopiero po miesiącach albo latach (zdrowie, edukacja, bezpieczeństwo). W takich obszarach trudno szybko sprawdzić, czy było warto.

Wtedy na miejsce ceny wchodzi inni podpowiadacze: rankingi, gwiazdki, „najczęściej wybierane”, listy polecane, certyfikaty, procedury, formularze, a czasem po prostu reputacja budowana w sieci. One pomagają, bo ułatwiają wybór. Ale mają też drugą stronę: **zastępują myślenie o jakości gotową oceną**, która może być zrobiona według cudzych zasad. I tu pojawia się sedno problemu: w erze algorytmów coraz ważniejsze staje się pytanie nie o to, czy coś jest dobre, tylko **kto ustala kryteria tego, co uznajemy za dobre**.

Żeby to dobrze zobaczyć, warto rozróżnić dwie warstwy. Pierwsza to rynek w prostym sensie: widzę produkt, znam cenę, wybieram, płacę. Drugą jest to, co dzieje się, **zanim** dojdzie do zakupu: co mi w ogóle pokazano, w jakiej kolejności, z jakim komentarzem, z jaką „pieczęcią zaufania”, z jaką obietnicą i z jaką presją czasu. Ta druga warstwa to coś w rodzaju **architektury transakcji przedrynkowych**. Bo tu też są właściciele i wymiana posiadanych zasobów. W tej architekturze rozstrzyga się często więcej niż w samej cenie, bo to architektura decyduje, jakie opcje uznasz za realne. Jeśli nie widzisz alternatyw, to formalnie możesz wybierać, ale praktycznie wybierasz z małego pudełka.

W tym miejscu wchodzimy w temat autonomii wspólnot. Jeżeli cena nie daje już wspólnego i wystarczającego sposobu porównania, to wspólnota – rodzina, szkoła, środowisko zawodowe, lokalna sieć instytucji – potrzebuje własnych metod ustalania kryteriów: co jest rzetelne, co działa w czasie, co jest bezpieczne, co jest warte zaufania. Bez tego kryteria „przyjadą z zewnątrz” jako gotowy system ocen: ranking,

lista, procedura albo platforma. A wtedy wspólnota traci coś więcej niż pieniądze: traci wpływ na to, **co uznaje się za sensowne życie, dobrą edukację, dobrą usługę, dobrą instytucję**.

Tu pojawia się kolejny ważny podział: **potrzeby i pragnienia**. Pragnienia można łatwo pobudzać bodźcami: reklamą, modą, natychmiastową nagrodą, porównywaniem się z innymi. Algorytmy są w tym świetne, bo potrafią szybko uczyć się, co działa na uwagę. Potrzeby są inne: dotyczą tego, co buduje człowieka i wspólnotę w długim czasie – zdrowia, kompetencji, charakteru, więzi, poczucia bezpieczeństwa, zdolności myślenia. Tego nie da się ocenić jednym kliknięciem ani „gwiazdką”. W ekonomii pragnień łatwo wygra ten, kto najsprawniej steruje uwagą. W ekonomii potrzeb liczy się ten, kto umie utrzymać jakość w czasie i umie się poprawiać, kiedy pojawiają się błędy.

Dlatego pytanie o granice autonomii nie jest pytaniem moralizującym („czy reklama jest zła?”), tylko pytaniem konstrukcyjnym: **jakie kryteria rządzą wyborem**. Czy są to kryteria nastawione na szybki efekt i natychmiastową gratyfikację, czy kryteria nastawione na trwały skutek? Czy widać, kto je ustalił? Czy można je zakwestionować i poprawić? Czy istnieje pamięć korekt – czyli czy system uczy się na błędach, czy tylko zmienia hasła?

W europejskim doświadczeniu te sprawy mają szczególną wagę, bo nasza kultura mocno opierała wolność na trzech motywach: **długim czasie** (systematyczna formacja i cierpliwość), **przestrzeni bliskiej** (odpowiedzialność w relacjach, które mają twarz i pamięć) oraz **wiedzy głębokiej** (wiera, rozumienie, rozmowa, a nie tylko szybka informacja). Ekonomia pragnień łatwo te proporcje odwraca: promuje pospiech zamiast czasu, anonimowy zasięg zamiast bliskości, skrót zamiast rozumienia. Ekonomia potrzeb próbuje je odzyskać – nie jako sentyment, tylko jako warunek autonomii.

Z tej wstępnej diagnozy wynika proste, choć wymagające zadanie: skoro cena nie jest już wystarczającym kompasem, musimy umieć budować **wspólne kryteria oceny** w obszarach potrzeb. Przykładem może być np. aktywność w budżecie obywatelskim albo – historycznie sprawdzona – instytucja samorządu pracowniczego 3xS w przedsiębiorstwach państwowych (społecznych) w latach 1981–1989.

Nie chodzi o narzucanie jednego gustu, tylko o uzgodnienie tego, co jest rzetelne i porównywalne, oraz by kryteria nie były prywatnym narzędziem sterowania. W przeciwnym razie transakcje przedrynkowe – czyli to, czego nie widzimy, ale co i tak uznajemy za wiarygodne i co traktujemy jako dobrą opcję – pozostaną cudzą własnością. A my będziemy jedynie użytkownikami cudzych kryteriów, nawet jeśli wciąż płacimy własnymi pieniędzmi.

ANDRZEJ MADEJ

Polskie Towarzystwo Ekonomiczne

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;
Witold Brzozkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja